Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIST C. K. NORWIDA DO EMIGRACJI POLSKIEJ*

„Nie mogę byłemu edytorowi memu Brockhausowi tłumaczyć, że wieści i zachody wojenne są niczym – bo on nie zrozumie! Nie mogę mu mówić, że idzie po prostu o Kongres, albowiem nic nie ma zlegalizowanego i wszystko jest personalne – osobiste – zależące od osobistych atrybutów. Nie mogę mu mówić: «Europa jest bezlegalna, Polska – cała w sentymentach krwią zbroczonych, a ludzie chrześcijańscy są niepraktyczne osły, a ludzie praktyczni są szarlatany pogańskie». Nie mogę mu mówić: «Płać mi i drukuj, i czekaj, a będziesz zawdzięczony».

Tego wszystkiego mówić nie mogę dlatego, że poprzednicy moi byli ludzie genialni, ale łgarze, tak jak każdy patrycjusz w trudnych chwilach Rzeczypospolitej jest łgarzem. Byli to szanowni i kochani łgarze, którzy safandułom schlebiali, aby czas zyskać do poprawienia rzeczy ogólnej i wychowania czegoś znośniejszego – nie mogli inaczej począć – łgali – bo czekali!...

Mówiłem to Zygmuntowi przed śmiercią Jego, gdy przyszedł do mnie, do tego kąta, gdzie byłeś, pod moją nieobecność. Mówiłem mu: «Łżecie, nie ufacie następstwom prawdy i mistrzostwu wszechprzytomnego Boga!... to zaś ufanie w konsekwencje prawdy zwie się NADZIEJĄ (cnotą)».

Ale co? robić u nas...

Bądź im Pindarem albo Buonarrottim... na co?... Im trzeba, abyś był bankierem-Żydem i abyś gadał angedoty jak Radziwiłł Karol, a żonom ich, abyś się modlił, grymasy robiąc.

1. Arystokracja: bez grzeczności i starannej baczności uszanowania człowieka.

---

* Tekst niniejszy jest drukowany według książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *Żywi i umarli. Szkice literackie*, Lublin 1991, s. 9-12. Red.

2. Demokracja: bez pracy, walki i dumy-szlachetnej.

Kiedy kto arystokratą, niech będzie delikatnym i artystycznie niebieskim jak Perykles. Kiedy kto demokratą, niech będzie szlachetnie-dumny jak Cato, i pracowity, i cichy.

Jednych i drugich nie widziałem, ale widziałem amfibie bez charakteru – lokaje i zalotniki-czasów, złodzieje i szarlatany – modlący się jak ich niewolnice-żony, ale niemocni słowa świadectwa wyrzec i kroku postąpić prawego.

Oto gotowi wlać morze krwi, ale kilku wyrazów prawdy nie powiedzą, i umyją ręce, i będą na trzy korony Ojca Świętego śmieciami rzucać. Męczeństwo bez wyznawstwa – szlachectwo bez szczerości i otwartości słów, demokracja bez pracy i charakteru! – gałgaństwo.

Czy zechcesz i raczysz jednym palcem nagim dotknąć interesu, który Ci przedstawiłem był??"

C. Norwid

Gdy mi, opuszczającemu Rzym, dał ten, wypisany na cienkim listku papieru list ktoś bliski i czujący, zachowałem go niby najdroższą pamiątkę, niby glejt żelazny, wystawiony w tych ciężkich dniach burzy polskiej na dalszą trudną i niepewną drogę.

Napisał go Norwid nie do naszej Emigracji, ale do Kraszewskiego. Napisał go w równie dla Polski chmurnych czasach, gdy w owym biednym kącie, w zwadzie serdecznej z Zygmuntem Krasińskim i innymi sięgał do dna polskich nieszczęść, rozjaśniał nieulękłym rozumem głębokie mroki najdumniejszych z tułaczek.

Nie wieszcz, ale mędrzec, nie prorok, ale gorzki ostrowidz, nie wróż, ale mistrz, który z poezji uczynił lancet, odsłaniający najdrobniejsze włókna duszy narodu, umiłowanego w nieszczęściu i tak nierozumnie szalonego w pokoju: „Delikatny i artystycznie niebieski jak Perykles" – w łachmanach. Czy to nie On właśnie powinien być dla nas symbolem niezatartym narodu, który tułaczkę i poniewierkę przekłada nad niewolę?

„Szlachetnie-dumny jak Cato, i pracowity, i cichy" – życiem całym przyświadczył, że los własnego narodu można zdradzić lub dzielić, ale nigdy, przenigdy nie wolno go skłamać. Skąd wiedział ten królewski nędzarz, że tak będzie znowu? Jak przeczuł i ową „Europę bezlegalną" i „Polskę – całą w sentymentach krwią zbroczonych" i owych „szarlatanów pogańskich", ludzi praktycznych? Rwie się smutny polski wątek, gubi się myśl bezinteresowna wśród „wieści i zachodów wojennych". Norwidową ma twarz powstaniec ze „Snu Elenai", Norwidowy, zbolały głos dźwięczy ostro w orkiestralnych „chórach wieków" Słowackiego. I jeszcze wyrywa się po raz ostatni ze strąconego na bruk warszawski fortepianu Szopena. A przecież mógłby na

nowo marzyć o jednym tylko „z młodości swej stolicy" kamieniu, na którym „krew i łza nie świecą". Mógłby, jakże łatwo, niby po nocach budzący cień bezlitosny polskich przywar i grzechów znów palcem kościstym wskazać „patrycjuszy, co w trudnych chwilach Rzeczypospolitej są łgarzami", aby „czas zyskać do poprawienia rzeczy ogólnej i wychowania czegoś znośniejszego".

„Lokaje i zalotniki-czasów... niemocni słowa świadectwa wyrzec i kroku postąpić prawego", wszyscy ci mali „organicznicy" i pozytywiści o tyle mniejsi od swych mistrzów, o ile przełaz węższy jest od drogi.

Na wskroś przejrzał ich później Brzozowski, ten „Norwid naszych już czasów", który, gdyby los mu odjął trochę inteligencji i wiedzy, a nie poskąpił Cyprianowego rozumu i sztuki, mógłby napisać jedyną zapewne książkę o dziejach inteligencji polskiej. Jak z tych coraz to ginących ścieżek polskiego geniuszu niewoli wydeptać szeroki gościniec wolności?

Jest jedna wielka rzecz, dzięki której żyjemy wszyscy. Jeśli Polacy są naprawdę narodem romantycznym, to jest to anachronizm, który cierniem tkwi w żywym ciele Europy. Jeśli są naprawdę narodem niepodległym, to jest to prawda, która układanej do snu śmiertelnego Europie każe zawsze przecknąć się do życia na nowo.

Polska układna, Polska nowego Margrabiego, w której „dla Polaków można zrobić dużo, ale z Polakami nic", Polska znużona właśnie u kresu męczeństwa, któremu teraz, właśnie teraz zabrakło nagle wyznawstwa! – gałgaństwo.

Więc u progu szóstego roku Emigracji, na chwilę przed chłodnym świtem czasu jutrzennego, czy „zechcemy i raczymy jednym palcem nagim dotknąć interesu, który nam przedstawił był?"

Październik 1944